



KONRAD JASKÓLSKI

**KALENDARZ
EASY
RIDERA**

FOXPublishing

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).

**KALENDARZ
EASY
RIDERA**

KONRAD JASKÓLSKI

**KALENDARZ
EASY
RIDERA**

07/06/07

Kolejna nieprzespana noc. Angol z pokoju nade mną wprowadził sobie dwie nowe dziewczyny. Orgietka na całego. Wystarczyło, żeby nie zmrużyć oka. Sufit zrobiony był chyba z membrany akustycznej, bo nasłuchiwałem się ochów i achów za wszystkie czasy, we wszelkich możliwych tonacjach i skalach. Nawet nie sądziłem, że występują takie w przyrodzie.

Przywykłem... Gorszy był Hindus, który ściągnął do siebie znajomego. Palili trawkę. Hindus lubi sobie przypalić, a kiedy się najara, staje się bardzo rozrywkowy: śpiewa, tańczy, recytuje i wyjada cudze żarcie z lodówki.

Najmniej dokuczliwy tej nocy był Polak, wysoki chudzielec zwany Igorem. Poszedł na nocną zmianę do McDonald'sa i jeszcze nie wrócił. Pewnie prosto stamtąd powędrował do banku, gdzie pracuje za dnia. Igor potrzebuje forsy, bo w Polsce ma rodzinę na utrzymaniu. Zarabia więc w banku i McDonald'sie. Widziałem go ze dwa razy, odkąd tu mieszkam, czyli przez sześć dni.

Wstałem i poszedłem do kuchni, żeby przyrządzić sobie śniadanie. Jako nowy nie nauczyłem się jeszcze chować żarcia w pokoju, kiedy Hindus ma wolne. W lodówce trzymałem masło, bekon, jajka i pomidory. Jeszcze wczoraj tam były. Dzisiaj została tylko musztarda, za którą Hindus nie przepadał. Opakowanie po bekonie leżało obok sofy, na której kimał znajomy Hindusa.

Wróciłem do pokoju. Chociaż trudno go nazwać pokojem – pomieszczenie, które zajmowałem, nie figurowało

w adnotacji jako izba mieszkalna. Rodzaj pakamery z żarówką. W środku łóżko, krzesło i śnieżnobiała tapeta ze wzorkiem. Ni to liście palmy, ni paproci. Sztuka pełną gębą, nie było co gadać. Tyle że klej słaby albo wilgoć zbyt wielka. Tapeta odlepiała się od ścian i marszczyła. Pokój wyglądał jak obwieszony dookoła firanami. Całość za pięćdziesiąt funtów tygodniowo.

W pokoju razem ze mną mieszkał pająk – mały, wychudzony, samotny. Dostyc znajomo wyglądał. Za dnia łąził po ścianie, nocą siedział w kącie pod sufitem. Nie miał pajęczyny. Nie wiedziałem, czym się żywi. Pewnie trafił tu przypadkiem z Polski w torbie któregoś z poprzednich lokatorów. Tamten się zmył, a temu się zostało. Nawet mu współczułem. W pokoju nie było ani jednej muchy.

Żyliśmy sobie razem.

08/06/07

Targany potworną nudą, zdecydowałem się ukatrupić pająka kapciem. Zwłok nie sprzątnąłem ze ściany. Nie chciałem zostać sam w tym pokoju i – jakby nie było – w tym kraju. Mimo wszystko resztki rozmazanego na ścianie pająka dodawały mi nieco otuchy.

09/06/07

Wczorajszego wieczoru Hindus napalił się trawki i opił whisky. Dzisiaj od rana próbował leczyć kaca. Uważa, że na kaca najlepsza jest praca. Chcąc zapomnieć o złym samopoczuciu, przekopał zarośnięty chwastami ogródek.

10/06/07

Przekopał go tak dokładnie, że uszkodził mrowisko. Zagubione mrówki biegały we wszystkich kierunkach, bo razem z mrowiskiem utraciły swoje szlaki. Znowu nie jestem

sam w pokoju. Mam miliardy nowych współlokatorów. Są wściekłe i bardzo ruchliwe, jakby szukały zemsty za zniszczony dom. Okropnie żałuję, że zabiłem pająka. Chodziłby sobie teraz nażarty, z pełnym brzuchem i szczęśliwy, bo tych mrówek wystarczyłoby mu jeszcze, żeby do Polski słać, rodzinie. A tak – sam muszę się z nimi użerać.

Przynajmniej przestałem się nudzić.

Hindus, który sownie oberwał za działanie bez konsultacji, nachlał się z tego powodu wieczorem i do tego napalił trawki.

11/06/07

Hindus miał potwornego kaca. Większego jeszcze niż wczoraj, a taki kac wymaga automatycznie większego nakładu pracy. Jak wywnioskowaliśmy z Angolem, o to mu właśnie chodziło. Aby zadośćuczynić nam straty poniesione w wyniku oblężenia przez dzikie zwierzęta, Hindus postanowił wytłuc wszystkie mrówki z ogródka przy pomocy łopaty. Połowę dnia ścigał i tłukł każdą pojedynczą mrówkę. Był zawzięty i nieustępliwy. Nie wystarczało mu, że mrówka się nie ruszała. Hindus nie był głupi. Nie dawał się nabrać na numer z symulowaną śmiercią. Dla pewności zgonu musiał kilkakrotnie trzasnąć łopatą w mrówkę, po czym nachylał się i sprawdzał, czy żyje.

Niestety, mimo usilnych starań i szczerych chęci, jego zamysł się nie powiódł. Zaowocowało to tym, że Hindus wpadł w depresję, którą postanowił wyleczyć butelką whisky i jointem.

12/06/07

Intensywny dzień. Angol poderwał nową panienkę. Pólkę tym razem. Miała donośny głos. Baraszkowali do północy. Potem słyszałem łomot na górze, szybkie kroki w ko-

rytarzu i wreszcie trzaśnięcie drzwiami wejściowymi, tuż obok mojego pokoju. Pomyślałem, że coś poszło nie tak, Polka uciekła albo Angol ją pogonił. Myliłem się. Rano przywitała mnie w kuchni, w pomarańczowej sukieneczce. Miła była. Zrobiła Angolowi śniadanie, mnie też poczęstowała. Pizza była dobra, chociaż trochę nieświeża – leżała w lodówce od tygodnia. Nawet Hindus jej nie ruszał.

Pojawił się też Igor. Wpadł na chwilę, zostawił brudne rzeczy z McDonald'sa i przebrał się w świeże. Spieszył się do pracy w banku. Był skacowany, ale nie przeszkadzało mu to tryskać energią i optymizmem. Chwalił się nowymi planami na przyszłość. Uznał, że ma za mało forsy, a za dużo czasu wolnego popołudniami i w weekendy. Wymyślił sobie, że poszuka jakiegoś dodatkowego zajęcia. Wahał się między posadą dziennikarską w lokalnej gazecie a stanowiskiem głównego konsultanta do spraw sprzedaży w salonie Mercedesa.

Hindusa od rana nie było. Angol twierdził, że widział go w nocy, jak uciekał przed mrówkami, które masowo opanowały jego pokój. Podobno to nie żadne mrówki, tylko obrzydliwe potwory, które chciały zjeść Hindusa. Miały gęste futra, lepkie od śluzu pyski, otwarte paszcze i widły zamiast zębów. Na ich widok Hindus uciekł z domu.

Wrócił wieczorem, z pomysłem na zaradzenie złu. Ledwie wszedł, natychmiast popędził do ogródka, gdzie rozsypał trutkę na szczury. W swoim pokoju zrobił to samo.

Angol mu powiedział, że trutka niewiele pomoże, bo to nie szczury, ale dzikie, krwiożercze, żądne hinduskiego mięsa okropieństwa. Na tę wyjątkową okoliczność polecał zastawić wnyki, wykopać dziury i zamaskować je jodłą.

Ze swojej strony doradziłem Hindusowi, żeby nosił w kieszeniach kasztany, bo ponoć pomagają na wszystko, odpędzają nawet złe duchy. Hindus, jak wiadomo, głupi nie jest. Zezłił się na mnie, bo mrówki nie były duchami,

tylko mrówkami, które żyły i prześladowały Hindusa. Pomysł z dziurami też odpadł. Kategorycznie. Hindus musiał wytłumaczyć Angolowi, że w pokoju nie da się wykopać dziury, bo ma tam podłogę. Przecież przebiłby się na dół. Z wnykami było trochę gorzej, bo Hindus nigdy ich nie widział i nie bardzo rozumiał, do czego służą. Asekuracyjnie jednak zapytał, gdzie je można kupić. Angol, że na pocztę najszybciej, ale ostatnio widział je też u fryzjera, zaraz obok konserw i bojlerów elektrycznych. Skołowany Hindus łąpał się za głowę. Angol dodał, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zaprzyjaźnić się z potworami, wyselekcjonować ze stada samice i urządzić ostrą orgietkę. Obiecał dołączyć, jeśli Hindus dogada szczegóły, co i jak. Nie ma się co cackać i tracić cenne ruchaczogodziny. A że potwory, trudno. Zawsze coś. Hindus odwrócił się na pięcie.

Na wszelki wypadek spał z łopata. Tym razem nie było whisky ani trawki przed snem. Hindusowi skończył się urlop. Od jutra musiał iść do pracy, do banku – tego samego, gdzie pracowali Igor i Angol.

Tak mijały dni.

Marnie to wszystko wyglądało, ale nie zrażałem się. Początki zawsze są trudne. Wiedziałem, że należało cierpliwie czekać na swój czas, wytrwać w determinacji, z optymizmem spoglądać w przyszłość. Byłem tu zaledwie kilka dni, ale z powietrza chłonałem pozytywne flidy. Wystarczyło popatrzeć na twarze Anglików, ich ruchy, gesty, sposób bycia. Była w tym charyzma. Porywała mnie ich pewność siebie, olbrzymie przekonanie w oczach, pogodne usposobienie, instynktowna radość z życia, naturalna życzliwość, jakby zamiast do pracy szli na to swoje barbecue, jakby istnieli bardziej od nas – Polaków, wiecznie niezadowolonych ze wszystkiego, wiecznie bez forsy, błędzących we mgle absurdalnych urojeń, rezygnacji albo bezsilności.

Miałem tego wszystkiego dosyć. Przyjechałem do Anglii, by los zamienić w życie, szarość w kolory, a myśli w czyny. By tragizm bycia Polakiem zastąpić radością bycia sobą – trzydziestoletnim Stanisławem Wołkiem. Miałem w sobie dość entuzjazmu, by tego dokonać, znacznie więcej niż umiejętności.

13/06/07

Żadnego sygnału z agencji, chociaż chodziłem do nich codziennie. Sprawdzałem, pytałem, prosiłem – nic. Miałem po prostu pecha. Za każdym razem pani mówiła, że oferty były, ale wcześniej rano, a teraz już nie ma. Trzynasta to stanowczo zbyt późna godzina na szukanie pracy, tak mi powiedziała. Kazała przyjść następnego dnia, jeszcze przed otwarciem, żeby zająć kolejkę. Bo układ był podobno taki, że czasem podjeżdżała furgonetka i uzupełniała załogę na budowę, taśmę lub co innego. Czasem też ktoś dzwonił, bo – dajmy na to – pracownik nie przyszedł albo się rozchorował, a tu plan napięty. Tak czy inaczej w agencji trzeba było być z samego rana i czekać. Miałem wyjątkowego pecha, bo ciągle się spóźniałem.

Po południu poszedłem do restauracji, poprosić o mycie garów albo szorowanie kibli. Stamtąd zajrzałem do budki z baraniną, ale wszędzie mieli komplet. Dałem sobie spokój. W McDonald'sie nie pytałem nawet. Igor złożył aplikację w listopadzie, a na rozmowę kwalifikacyjną zaprosili go dopiero w kwietniu.

Wisiał nade mną poważny kryzys finansowy. „Trzeba zapłacić frycove”, powtarzałem sobie w kółko na pociechę.

Chcąc uporządkować myśli, poszedłem do knajpy. Wypiłem dwa piwa i zamówiłem trzecie. Przy czwartym zadzwonił telefon z agencji. Praca w pralni od zaraz. Pani miała przyjemny głos, taka piszczałka. Rozmawialiśmy tro-

chę. Na imię miała Kate. Próbowałem wytłumaczyć Kate, że jako uczciwy człowiek, nie mogę iść do pracy pod wpływem alkoholu. Poza tym chciałem być w porządku wobec barmana, któremu obiecałem pieniądze za piąte piwo. Kate oburzyła się trochę. Nie dała się namówić na drinka w moim towarzystwie. Zmieszana odłożyła słuchawkę. W ten oto sposób przeszła mi koło nosa jedyna dziewczyna, którą tu poznałem.

Resztę dnia przepiłem.

14/06/07

– Powiedz mi coś o tej robocie – zapytałem rosłego i tłustego rodaka, zawodowego kierowcę autobusów miejskich. Brzuch miał tak duży, że widać go było pewnie z orbity okołoziemskiej. Jak jeszcze trochę przytyje, zacznie wytwarzać własne pole magnetyczne, a kto wie, może nawet dorobi się księżycy? To znajomy Igora, na imię miał Szczepan. Wyjątkowy był z jeszcze jednego powodu: jego lewe oko było niebieskie, a prawe zielone. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Dość demonicznie to wyglądało.

– A co ty chcesz wiedzieć? Nic ciekawego. Patrz, jak się pchają, pod same koła normalnie! Nie znoszę rowerzystów. Ty mi lepiej powiedz, co w ogóle wiesz o autobusach?

– Mało, ale kiedyś znałem gościa, któremu ojciec zmarł w autobusie – odparłem, nie chcąc wyjść na ignoranta.

– Ta. Ja też kiedyś znałem kierowcę, któremu staruszek odwalił kitę na tylnym siedzeniu, w piątek, na ostatnim kursie. Nikt go nie zauważył, bo zsunął się na podłogę. Przeleżał tam cały weekend, bo kierowcy nie chciało się zrobić obchodu, a cieciom posprzątać. Aż się zaśmierdł, biedak. Dopiero w poniedziałek jakaś baba zauważyła go pod nogami – wspominał z ironicznym uśmiechem, ostro ścinając zakręt.

– To był jego ojciec?

– Nie, skądże?! Pasażer. Jego ojciec żyje. Magiel miał na osiedlu, ale ktoś mu powiedział, że naczynia, nie wiem, skup czy wypożyczalnia, to lepszy interes. Potem go podkablowali, skarbówka wsiadła mu na kark. Wściekł się i dostał wylewu. Teraz siedzi w domu i pobiera rentę, bo mu mowę odjęto. Pamiętam, bo wtedy miałem wózek z prowiątem w pociągu. Jaja z tym wózkiem były...

– Dawaj.

– Mogę, jak chcesz. Powiem ci, że to wcale nie taka łatwa robota. Jak chcesz mieć wózek w pociągu, to musisz się znać na ludziach, na psychologii, mieć ten, no, zmysł obserwacyjny. Nie możesz od razu ludziom wciskać herbaty albo wafli, bo nikt od ciebie niczego nie kupi. Musisz zacząć, aż wszyscy zajmą siedzenia w przedziałach, rozbiorą się, pogadają ze sobą. Jak w odpowiednim momencie zaatakujesz, to schodzisz z trasy z pustym wózkiem, mówię ci. Trzeba też wiedzieć, komu piwo spod półki wyjąć, a kogo ominąć. Tajniacy czają się wszędzie... Na wszystkim trzeba się znać. Mnie psychologia zawsze interesowała, ech...

– Miałem na myśli autobusy, co z nimi?

– A, autobusy. Nic, a co ma być?

– Żadnych obserwacji? Coś o robocie. Powiedzmy, co robisz, jak cię przyciśnię do kibla?

– Co robisz? Nic nie robisz. Czekasz do pętli i odlewasz się na koło. Z grubszą sprawą idziesz w krzaki. Gorzej, jak zakręcasz w mieście. Ale jak jesteś bunkrem, to pół biedy. Zamykasz drzwi i idziesz na schody, bo tylko tam nie ma kamer. Zawsze noś przy sobie siatkę, pamiętaj. Patrz na barana. No, nie przejadę. Jedź, durniu! Co za idiota! You fucking wanker!! – krzyczał Szczepan przez okno na rowerzystę, podstarzałego dziadka, który jechał powoli, w znacznym odstępnie od krawężnika. – Raz, pamiętam, to

mnie tak przycisnęło na trasie, że cały się trząsałem. Tyłek mi spuchł, brzuch rozdymał do bólu, a nogi zdrętwiały. Musiałem wyrzucić gnój normalnie w trybie natychmiastowym. To było w Londynie, bo ja wcześniej w Londynie jeździłem. A Londyn, sam wiesz. Dwadzieścia jeden tysięcy ulic i ludzie na tych ulicach. Ciężko tam ogólnie o krzaki czy ustronne miejsce, żeby cię nikt nie widział. Do tego miałem zmianę akurat w samym centrum.

– No i co?

– Stanąłem, otworzyłem z tyłu klapę do połowy i usiadłem tyłkiem do silnika. Wziąłem jakiś pręt, który robił za francuza, i waliłem nim w cylindry, żeby zagłuszyć efekty akustyczne i nie rzucać się w oczy. A strzelałem jak z armaty. Pojęcia nie mam, po czym. Musiałem coś zjeść u Ciapatych wcześniej. Wysrałem się na silnik, zamknąłem klapę i dzida dalej. Niech się mechanicy martwią. A w garażu brali to na rękę i rozcierali w palcach, bo nie wiedzieli, czy to smar, czy olej, czy co innego. Kapowali się dopiero pod nosami. Tak było. Ale uważaj na takie rzeczy. U nas, w kompanii, jednemu takiemu Polakowi też się raz zachciało. Zawijał przy Tesco i zamiast, dureń, pójść normalnie do kibla, bo ten był o dwa kroki, to on poszedł w krzaki koło przystanku. Tak po polsku chciał to zrobić. Tylko że jakaś nerwowa panienska go przyuważyła i zrobiła zdjęcie. Zwyczajnie, wiesz, gość w krzakach, gacie spuszczone, a tu ciach, nagle fleszem po zadzie. Nawet nie zdążył się dobrze uśmiechnąć. Głośno o tym było, nie słyszałeś?

– Nie, od niedawna tu jestem.

– Aha. No to słuchaj. Nie pomogło tłumaczenie, przeprosiny. Tydzień później gościa wywalili z firmy.

– Zdarza się, co robić – rzuciłem lekceważąco.

– Co robić, co robić. Pamiętaj, jak ci się zachce, poszukaj kibla i nie kombinuj, to moja rada. A jak nie znajdziesz

żadnego, a będziesz w mieście, zawiadom bazę. Powiedz wtedy, że nie wytrzymujesz i przyjadą po ciebie. Zawiozą do kibla i przywiozą do autobusu.

Nie wiem, co ty chcesz wiedzieć o tej robocie. Zawód kierowcy to praca dla ambitnych jest. Dla tych, którym się nie chce rowów kopać, rozumiesz, kierownicze stanowisko, ha, ha – zaśmiał się Szczepan, aż ogromny brzuch zafalował, a razem z nim cały autobus.

Mina szybko mu zrzedła, bo rowerzysta w żaden sposób nie dawał się wyprzedzić. Szczepan przeklinał i wyzywał biednego staruszka. Widać było, że wychodził z siebie, bo powinien być kilka przystanków dalej.

– Zanim się zdecydujesz, znajdź sobie coś innego – ciągnął dla odwrócenia uwagi. – Oni ci przyślą zaproszenie na testy za dwa, trzy tygodnie dopiero. Weź cokolwiek z agencji, na przeczekanie. W sumie to nie jest zła robota. Dla ciebie, jak sam tu jesteś, wystarczy. Zarobisz, przeżyjesz, odłożysz. Ja się urywam za miesiąc. Przerzucam się na lorki. Sama jazda, bez psiego życia. Papiery mam już załatwione. Znasz Bankiera?

– Nie znam. Kto to?

– Bankier? Bankier to gigant. To małe miasto, tu każdy wie o każdym wszystko, wszyscy się znają, sam zobaczysz, pewnie go kiedyś spotkasz. I zapamiętasz to na długo. Bardzo mądry człowiek. Siedzi tu od lat. Zaczynał w Londynie, ale przeniósł się tutaj, bo ciszej i spokojniej. Nie masz pojęcia, ile on może, jakie ma układy. Jesteśmy przyjaciółmi od niedawna. Załatwił mi papiery na przewożenie benzyny i robotę, czujesz to? Taki koleś. Robotę w Murco za siedem stów tygodniowo załatwił mi po koleżeńsku.

– A miałby coś dla mnie? – zapytał z nadzieją.

– Oj, wątpię, stary. Nie tak od razu. Poszukaj sobie pracy, staraj się, rób dobre wrażenie, a fama pójdzie w miasto.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).